

**Olaf Tumski**

# Bezkresny umysł



Olaf Tumski

# Bezkresny umysł

e-bookowo

© **Copyright:** Olaf Tumski & e-bookowo

**Zdjęcie na okładce:** Designed by evening\_tao/Freepik

**Skład:** Ilona Dobijańska

**ISBN:** 978-83-7859-904-3

**Wydawca:** Wydawnictwo internetowe e-bookowo

[www.e-bookowo.pl](http://www.e-bookowo.pl)

**Kontakt:** [wydawnictwo@e-bookowo.pl](mailto:wydawnictwo@e-bookowo.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości  
bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I, 2018

„Science fiction nie przewiduje,  
science fiction opisuje”

Ursula K. Le Guin

# 1.

Program „Bezkresny umysł” był najbardziej tajnym i najpilniej strzeżonym projektem na całej Planecie. Oznaczało to między innymi, że jego twórcy poszukiwali kandydatów, prowadząc kwalifikacje pod przykrywką rozmaitych badań, analiz, sondaży i prób wytrzymałościowych, organizowali nabory na staże i szkolenia, które były najzwyczajniejszą fikcją, aczkolwiek dobrze zakamuflowaną. Ponieważ każdy mieszkaniec systematycznie poddawany jest tego rodzaju działaniom, nie wzbudzało to żadnych podejrzeń. Skrupulatne badania trwały przez trzy sekwencje obiegowe. Dużo i mało. Mało jeśli weźmie się pod uwagę skalę i wyjątkowość przedsięwzięcia, dużo zważywszy, że twórcy i ich zwierzchnicy obawiali się, aby nie zostali wyprzedzeni przez konkurencyjne jednostki administracyjne. Po trzech sekwencjach obiegowych uznano, że zebrano już wystarczająco dużo danych, aby wytypować kandydatów na uczestników misji. Kandydaci, wśród których znalazłem się i ja, nie mieli oczywiście pojęcia o tym, że są jakimikolwiek kandyda-

tami. Rozpoczęła się ich zdalna obserwacja mająca wyłonić tego, który dowie się o istnieniu „Bezkresnego umysłu” oraz o tym, że najlepiej na całej Planecie nadaje się do podróży w nieznanne obszary umysłu i wszechświata, a przy tym prawie nie będzie musiał ruszać się z Planety. Dlaczego prawie o tym opowiem nieco dalej. Zanim do tego przejdę dodam, że moja wiedza na temat programu nie wynika z faktu zaangażowania w jego powstawanie. Pojawiłem się, gdy wszystko było już gotowe. Jestem bowiem owym wytypowanym wybrańcem.

Pewnej zwyczajnej sekwencji obrotowej, przechodziłem rutynowe skanowanie układu nerwowego. Podczas badania zasnąłem. Tak mi się wydawało, gdy odpływałem w niebyt, ale był to środek usypiający, rozpylony w kabinie skanowania. Tak czy owak nie mając jeszcze tej świadomości śniłem, że wędruję po całym budynku poznając wszystkie jego zakamarki, a później odkrywam tajne przejście do tajnej bazy podpowierzchniowej, w której pracują najlepsi naukowcy z naszej jednostki administracyjnej i najlepsi oficerowie służb specjalnych. Sen okazał się prawdą. Po przebudzeniu uświadomiono mi, że znajduję się dokładnie w takim właśnie miejscu, otoczony takimi osobami, w ośrodku ukrytym głęboko pod budynkiem, który uważałem za zwyczajny punkt badań zapobiegawczych dla przeciętnych mieszkańców. Poinformowano mnie, że zdałem ostatni test. Podczas którego mój umysł pozostał aktywny i przeczesywał budynek, jednocześnie pozostając w złączeniu z ciałem dyskretną, ale silną więzką życia. Po ponownym, całkowitym zespoleniu ciała i umysłu, wszystko, co poznał mój wędrujący umysł pozostało w mojej pamięci. W ten sposób oraz

dzięki serii wcześniejszych badań wydolnościowych, psychologicznych i społecznych zostałem zakwalifikowany do udziału w programie „Bezkresny umysł”. Miałem stać się odkrywcą odległych światów, poszukiwaczem form życia. Moje ciało nie miało odlecieć zbyt daleko. Jedynie na stację orbitalną Planety, gdzie następowało oddzielenie umysłu, ale z zachowaniem jakże ważnej wiązki łączności z ciałem. To właśnie mój umysł miał podróżować w kosmosie, bo tylko taka forma mnie nadawała się do tego rodzaju podróży.

Spółeczności naszej Planety, niezależnie od dzielących je różnic i animozji, dawno już porzuciły nadzieję na dalekie podróże do innych układów planetarnych, galaktyk i wszechświatów (o ile te ostatnie istniały). Wszystkie eksperymenty z prędkością światła kończyły się niepowodzeniem. Żaden żywy organizm nie był w stanie tego znieść. Żaden najdoskonalszy pojazd nie wytrzymał tak potężnej mocy. Nasze biologiczne właściwości okazały się przeszkodą nie do pokonania. Co innego umysł. Planetarianie sprawnie potrafią go wykorzystywać i praktycznie stosować. Krótkotrwałe i niezbyt odległe oderwanie umysłu od ciała wynika z naszych genów. Nazywamy tę umiejętność półsnem. Ciało wygląda i sprawi wrażenie jakby spało, zaś umysł jest w pełni świadomy i aktywny. Z dwóch składowych Planetarianina jedna połowa śpi, stąd półsen. Powiecie zaraz, że i u was takie przypadki się zdarzają. Przypadki, jednostkowe, owszem, zdarzają się niezależnie od was. My potrafimy to robić kiedy chcemy, na zawołanie, z wyraźnym świadomym zamiarem.

Kiedy i w jakich okolicznościach stosujemy półsen? Na przykład gdy coś nas boli. Umysł oddziela się częściowo od ciała, ono

zaś rozluźnia się i nie dręczy swoim bólem umysłu. Z tego powodu stosujemy w niewielkim stopniu przemysłowe środki przeciwbólowe. Podaje się je osobom, u których zdolność pólśnienia rozwinęła się w niewielkim stopniu albo gdy ból jest zbyt silny. Pólśen wspomagany przez aparaturę medyczną pozwala na wykonywanie drobniejszych zabiegów bez znieczulenia chemicznego, a w wybranych przypadkach nawet bez narkozy.

Od pokoleń trwają dyskusje i spory jak dalece należy rozwijać naszą zdolność. Dałoby to przecież ogromne możliwości. Mogliby z nich korzystać stróże porządku, ratownicy. Tak, ale to działałoby też w drugą stronę. Poza tym samodzielne, odległe, długotrwałe i znaczne oddzielanie się w większości przypadków kończyło się śmiercią lub kalectwem. Ciało tracąc na dłużej swojego właściciela, przestawało sprawnie funkcjonować. Jedynie laboratoryjne prace, pod ścisłą kontrolą, z zabezpieczeniem ciała i umysłu, pozwalały na uzyskiwanie naprawdę dobrych rezultatów. Umysły wspinały się na szczyty gór, schodziły do wodnych głębin, w górne warstwy atmosfery, wreszcie na orbitę. Nie mogły jednak relacjonować swoich wypraw „na żywo”. Ta bariera stała się dla planetariańskiej nauki nieprzekraczalna. Żadnej transmisji obrazu, dźwięku. Można było opierać się wyłącznie na relacjach po powrocie. Niemniej jednak walor rozpoznawczy takich podróży był ważny i korzystny. Z kolei stopień skomplikowania wyekspediowania umysłu sprawiał, że praktyka zarezerwowana była wyłącznie dla wyspecjalizowanych ośrodków podległych władzy administracyjnej. Oczywiście szybko pojawiło się wykorzystanie do celów szpiegowskich, ale i tutaj były naturalne ograniczenia. Otóż Planetarianie potrafią



wyczuć czy w ich pobliżu znajduje się wędrujący umysł. Każdy indywidualnie we własnym zakresie i w różnym stopniu. Skoro jednak pojawiły się umysły szpiegowskie, szybką odpowiedzią stały umysły wyspecjalizowane w kontrwywiadzie.

Kolejnym krokiem było wykorzystywanie umysłów w niezbyt dalekich wyprawach kosmicznych, w naszym układzie planetarnym. Statki kosmiczne kierowały się na orbity naszych naturalnych satelitów, stamtąd wysyłano umysły celem dokonania pierwszego rozpoznania. Później dopiero na powierzchnie schodziły połączone z umysłami ciała. Marzeniem stało się niejako naturalnie, wysłanie umysłu tam, gdzie nasza technologia i ciało nie mogą dotrzeć.

Wiedza medyczna, rozwijana w wyniku doświadczeń kierunkowych, pozwoliła zyskać przekonanie, że umysł jest w stanie niejako „podczepić” się pod strumienia światła, „wskoczyć na jego pokład” i pomknąć z tą samą prędkością. Bez żadnego uszczerbku. Dzięki odpowiednim zabezpieczeniu medycznym ciała i utrzymywaniu kontaktu z umysłem poprzez wykorzystanie pamięci komórkowej, umysł po zakończeniu podróży mógł powrócić do swego „mieszkania”. Oczywiście była to podróż obciążona sporym ryzykiem.

Jeszcze bardziej ryzykowna była podróż z prędkością wielokrotnie przekraczającą tę z jaką porusza się światło. Uzyskanie takiej możliwości było konieczne, aby misja miała sens. Przy prędkości świetlnej podróż do wybranego miejsca i z powrotem mogła trwać kilkadziesiąt, kilkaset lub kilka tysięcy sekwencji obiegowych. W tym czasie ciało zestarzałoby się. Nawet zakładając, że udało by się zachować je w jak najlepszej formie, byłaby to tylko forma nie potrafiąca z powrotem przyjąć umysłu. Prawdopodobnie

więz została by zerwana już wcześniej. Z kolei umysł bez ciała nie był w stanie funkcjonować. Po prostu zanikał, ulegał wygaszeniu. Wszystkie próby przeszczepu umysłu do ciała kończyły się niepowodzeniem. Nasze ciała mają zdolność rozpoznawania własnego umysłu, wszelkie inne odrzucają.

Należało więc wynaleźć sposób podróżowania umożliwiając y powrót umysłu, gdy ciało będzie jeszcze sprawne i potrafiące w pełni zakotwiczyć w sobie z powrotem umysł. Był też powód praktyczny z punktu widzenia koordynatorów programu. Czas. Ci, którzy pracują nad projektem naukowym i wysyłają umysł w odległe rejony wszechświata, bardzo chcą poznać efekty jeszcze za życia. Bez nadzwyczajnej prędkości upłyną pokolenia zanim na Planetę trafi wiadomość zwrotna. Nikt nie był w stanie przewidzieć, w jakim momencie historycznym będzie wtedy nasza Planeta. Dodatkowo wiadomość zwrotna też nadeszłaby zdezaktualizowana, bo inny świat zdążyłby się w tym czasie zmienić.

Nadzieją okazało się odkrycie cząstki pierwotnej, tej która była u zarania znanego nam wszechświata (czy jedynej – na ten temat trwają niekończące się spory). Cząstka pierwotna to byt, który wygenerował wszystkie inne elementy materii. Swoisty byt „matka” (na temat tego – kto lub co było bytem „ojcem” także trwały niekończące się spory, łącznie z podważaniem istnienia „ojca”). Te rozważania nie były istotne w przypadku „Bezkresnego umysłu”. Najważniejsza była cząstka pierwotna, swoisty pojazd pozwalający umysłowi przemieszczać się z taką prędkością, że nawet nie odczuje podróży. Światło było w tym przypadku pojazdem pośrednim pozwalającym nabrać odpowiedniego rozpędu, następnie odna-

leżć częśćkę pierwotną i „podczepić” się pod nią. Proste prawda? Problem w tym, że nikt jeszcze tego nie próbował i to ja miałem zadebiutować. A właściwie umysłowa część mnie.

Dlaczego się na to zgodziłem? Ponieważ nabór był dokładnie przemyślany. Przeszedłem wzorowo testy medyczne i psychologiczne. Uznano, że mój organizm jest wystarczająco silny, a umysł świadomy, przewidywalny, analityczny, zdolny realizować powierzone zadania i potrafiący w nakreślonych ramach poszukiwać samodzielnych rozwiązań. Niezbędnym czynnikiem była również otwartość mojego umysłu. Na nowe wyzwania i doznania. Faktycznie zawsze lubiłem poznawać różne obszary życia, wiedzy, dziedziny nauki. W szczególności interesowała mnie astronomia. Pasjonowałem się kosmosem, uwielbiałem obserwować gwiazdy, planety, marzyłem, żeby tam kiedyś podróżować. Niestety w ślad za tym zainteresowaniem nie poszły uzdolnienia z przedmiotów ścisłych i nie dostałem się na wymarzone studia. Pasja jednak pozostała.

Takich jak ja, obserwowanych jako kandydaci do programu, było jednak wielu. Co zdecydowało o tym, że wybrano mnie? Paradoksalnie słabe przystosowanie społeczne. Mimo walorów potwierdzonych w procesie rekrutacji moje relacje z innymi osobami nie układały się najlepiej. Otwarty byłem na wiedzę, doświadczenia, technologię, przyrodę, ale nie za bardzo na Planetarian. Z trudem nawiązywałem relacje, nie wspominając o przyjaźniach. Moje związki okazywały się rozczarowujące, nie potrafiłem zaaklimatyzować się w jednym miejscu i środowisku. Nie doczekałem się też żadnego potomka, mimo że od kontaktów seksualnych nie stroniłem. Nawet się zbadałem czy mam zdolność prokreacji i nie

stwierdzono żadnych zaburzeń. Uznałem, że ojcostwo nie było mi pisane. Nawet dobrze, bo nie sądzę żebym potrafił dobrze wypełnić taką rolę.

Zawsze wolałem innych obserwować niż z nimi współpracować. Z samych obserwacji nic jednak dla mnie nie wynikało nie bardzo potrafiłem wykorzystywać je na swoją korzyść. Niepowodzenia dotyczyły mnie także pod kątem stanu materialnego. Podejmowałem błędne decyzje, które wpędzały mnie w niezwykle trudne sytuacje. Moje należności rosły w niepokojącym tempie, a ja nie potrafiłem tego powstrzymać. Krótko mówiąc w połowie średniej liczby moich sekwencji obiegowych czułem się kompletnie wypalony i nie widziałem dla siebie perspektyw. Za mną wiele nierozwiązanych spraw, na horyzoncie nowe problemy i przytłaczająca codzienność przypominająca o mojej marności, od której nie potrafiłem uciec. Nawet nie chce mi się opowiadać w szczegółach. Znalazłem się w ślepych zaułku życia.

W takim punkcie istnienia zostałem „zaproszony” do programu. Nie pytano mnie o zgodę, a po prostu zwerbowano, złowiono. W zamian była obietnica. Rozwiążą moje problemy, dadzą nową tożsamość, poprawią sytuację materialną. Nie zmienią oczywiście mojej ułomności w relacjach z innymi, ale na to nikt jeszcze nie wypracował cudownej metody. Atrakcyjny był już dla mnie sam fakt, że mogłem liczyć na oderwanie mnie od dołujących sytuacji, osób, miejsc i rozpoczęcie nowego startu z zasobem materialnym jakiego nigdy w życiu nie dorobiłbym się. Wystarczyło jedynie podjąć misję, której nikt wcześniej nie podejmował. Oddzielić świadomość od ciała, podróżować „na pokładzie” pierwotnej częst-

ki na odległości, których nie jestem w stanie sobie wyobrazić, bez żadnej gwarancji, że wrócę jeszcze do swojego ciała i na Planetę. Równie dobrze mój umysł mógł stracić świadomość lub co gorsza utrzymać ją, lecz pograć się na zawsze w szaleństwo, w otchłani kosmicznej przestrzeni.

A co gdybym odmówił? Może nie uwierzycie, ale ani przez chwilę nie rozważałem tego wariantu. Oni dobrze wiedzieli jak beznadziejne jest moje życie. Jak bardzo pragnę odmiany, ucieczki nie tylko od odtoczenia, ale od całej Planety. Chyba ich zaskoczyłem. Sądziłem, że będę próbować przynajmniej dowiedzieć się jakie byłyby konsekwencje odmowy. Czy wyszedłbym z ich tajnej bazy? Mój oficjalny statut był taki, że straciłem przytomność podczas badania, wykryto u mnie groźnego wirusa, zostałem przewieziony do ośrodka medycznego, gdzie przebywam w sterylnych warunkach i nikt, ze względów bezpieczeństwa, nie ma do mnie dostępu, nawet najbliżsi. Tyle, że nie miałem żadnych najbliższych. To znaczy najbliżsi bardzo się ode mnie oddalili (albo ja od nich) i nikt się mną nie interesował. Nie miałem też stałego zatrudnienia, więc nie trzeba było informować pracodawców. Jeśli odmówiłbym współpracy, czy nagle „cudownie” wróciłbym do zdrowia i został wypuszczony? Jeśli tak to w jaki sposób zabezpieczyliby się gdyby przyszło mi do głowy ujawnić tajemnicę? Zapewne nie byłem zbyt wiarygodny. Z pewnością wszystko, co przekazałbym publicznie mogło zostać uznane za senne majaki nawiedzające mnie podczas stanu nieprzytomności. Nie potrafiłbym opisać wyglądu osób składających mi propozycje, bo wszystkie nosiły białe kombinezony ze szczerle nasuniętymi kapturami zakończonymi maskownicami. To gene-

ratory obrazu zasłaniającego twarz hologramem skomponowanym z modelowych wzorów twarzy. Zorientowałem się jednie, że jest to dwóch mężczyzn i jedna kobieta, ale najwyraźniej pełniąca rolę przywódczą w tym mini zespole. To w zasadzie wszystko, co mógłbym opowiedzieć. Nie musieli by specjalnie się martwić i łatwo byłoby mnie zdyskredytować. Sądzę, że i tak woleliby nie ryzykować i nie dopuściliby do tego, aby moje relacje pojawiły się nawet w formie wynurzeń mało wiarygodnego osobnika, który ma problemy życiowe, przeszedł ciężką chorobę i przez spory zasób czasu pozostawał nieprzytomny, co z pewnością potwierdziłoby wielu wiarygodnych i szanowanych świadków. Nawet najgłupsza plotka znajduje swoich wyznawców. Wolałem nie sprawdzać jakie mieli sposoby, aby nie dopuścić do jej rozprzestrzenienia się. Poza tym kiedy wyobraziłem sobie, że mam wrócić do znanego mi życia, nie wahałem udać w nieznaną. Dokonali dobrego wyboru. A ja? O tym dopiero miałem się przekonać. Moja misja miała pozostać tajna przynajmniej do czasu powrotu. Później decyzja należała do nich, czy ujawnić Planecie, jeśli oczywiście będzie co ujawniać.

Zostałem przetransportowany na jedną ze stacji orbitalnych. Rutynowy lot z udziałem sześciuosobowej załogi, która miała zmienić dotychczasowych dyżurnych. Do trzech osób zajmujących się mną wcześniej dołączyły kolejne trzy. W sumie pięciu mężczyzn i kobieta, którą słusznie uznałem za osobę kierującą pracami, bo sama przedstawiła się jako szefowa projektu. Na pytanie czy mogą wyłączyć maskownice, bo wtedy będę miał z nimi lepszy kontakt odrzekła, że lepiej, abym stopniowo odzwyczaił się od widoku Planetarian, bo i tak przez dłuższy czas ich nie zobaczę. Przy-

jąłem wyjaśnienie nie mając innego wyjścia. Szefowa powiedziała jedynie, że w zespole znajdują się przedstawiciele środowisk badawczych, militarnych i władczych. Ona sama w swojej osobie łączyła wszystkie trzy grupy. Niewątpliwie miała cechy przywódcze, była inteligentna, niezwykle skrupulatna. To ona najwięcej ze mną rozmawiała pod tym jak zgodziłem się na współpracę. Właściwie nie była to rozmowa, ale najwyższy poziom przesłuchania. Każdą cząstkę mnie rozłożyła na najdrobniejsze elementy, a wszystko za sprawą uprzejmych, lecz niezwykle stanowczych pytań. Analizowała mnie kawałek po kawałku, aby uzyskać całkowitą pewność, że to właśnie ja powinienem dostąpić zaszczytu.

Lot na stację orbitalną nie był żadną tajemnicą. Wiedziała o nim opinia publiczna naszej jednostki administracyjnej, władze innych jednostek, każdy kogo to interesowało, a nie było ich wielu. To nawet nie było wydarzenie. Zwykła informacja, notka prasowa, jak te które w waszych przekazach informacyjnych pojawiają się na szarym końcu. Kilkuosobowa załoga udaje się na jedną z licznych stacji orbitalnych, aby zmienić dotychczasową załogę. Zabiera ze sobą tradycyjnie bagaż techniczny. W przekazach zabrakło jedynie drobnego szczegółu. Tym razem bagaż techniczny miał podwójną objętość. Część niego stanowiłem ja. Fakt nie podany do wiadomości nigdy nie staje się faktem, nigdy tak naprawdę nie zaistniał. Poza tym nie byłem nawet członkiem załogi, a jedynie obiektem eksperymentu.

Na stacji załoga natychmiast przystąpiła do pracy sprawnie wykonując polecenia szefowej projektu. Zanurzono mnie w kapsule, której zawartość stanowiły laboratoryjnie uzyskana ciecz o składzie

identycznym jak wody płodowe. Pępowiny mi nie podłączyli. Nie było takiej potrzeby, bo kapsuła (nazywana w naukowym żargonie, a jakże „macicą”) cała naszpikowana był aparaturą podtrzymującą i kontrolującą procesy życiowe. Szefowa bez rzewnych pożegnań życzyła mi powodzenia i zamknęła kapsułę, w której moje ciało miało przebywać przez... jakiś czas. Wprowadzenie w stymulowany sen odbyło się szybko i bezboleśnie. Zasnąłem. Po chwili obudził się mój umysł.

Wyostrozony wzrok i słuch. To było moje pierwsze wrażenie. W normalnym śnie zmysły są przytłumione. Mówmy ciszej, nawet, gdy krzyczymy. Kiepsko słyszymy, nawet, kiedy ktoś inny krzyczy. Ja widziałem doskonale całą załogę i kapsułę oraz siebie w środku, bezwładne, rozluźnione ciało w sztucznym płynie macicznym. Ostrzegano mnie, że będzie to dla mnie dziwny widok, ale żadne ostrzeżenia nie są w stanie na to przygotować. Do porządku przywołał mnie głos szefowej. Potwierdziłem, że świetniej ją słyszę i widzę. Generatory zmysłów wszczępione we mnie w postaci nanoimplantów działały prawidłowo. Rozpocząłem opuszczanie stacji. Poruszanie się w zwykłym śnie też sprawia problemy. Umysł pozostaje w ciele i jest przez nie silnie wiązany. W moim przypadku ten związek stał się bardzo luźny i poruszanie było niezwykle proste. Płynąłem, szybowałem nie czując żadnego oporu. W jednym momencie byłem we wnętrzu stacji, a za chwilę oglądałem ją już w pełnej okazałości jak sunie po orbicie. Stacja wysłała wiązkę światła w moi kierunku i zespoliłem się z nią. Pomknąłem w przestrzeń. Planeta malała w moich oczach, mieszała się z innymi obiektami układu, ale to jeszcze nie była maksymalna prędkość.



Sztuczna wiązka ze stacji miała mi nadać impetu, aby złapać naturalny wiatr świetlny. W rzeczywistości to światło złapało mnie. Zderzył się ze mną osłepiający błysk, który po chwili zgasł i znalazłem się poza własnym układem planetarnym. Nie było czasu na zachwyty. Jako pierwszy Planetarianin pędzący z prędkością światła nie mogłem się nawet z tego ucieszyć. Trzeba było skoncentrować się na cząstce pierwotnej. Nawet gdybym chciał upajać się jazdą w kosmosie z prędkością światła, szefowa przypominała mi o mojej powinności. Dopóki pędziłem jak światło mieli ze mną łączność. Po przejściu na cząstkę pierwotną kontakt miał zostać zerwany. Nie słyszałbym już przekazów w swoim umyśle, który pędziłby przed siebie połykając przestrzeń. Swoistym zakładnikiem było moje ciało. Mój umysł miał w tym czasie obowiązek notowania i przechowywania wszystkiego, co odkryję, abym mógł przekazać po powrocie. Wiedziałem, że będą dbać o moje ciało bardziej niż o swoje, bo inaczej niczego się ode mnie nie dowiedzą.

Najważniejsze dla projektu miało się dzieć dopiero po przeskoku ze światła na strumień cząstki pierwotnej. Zapoznano mnie z całą wiedzą zdobytą na temat pierwotnej cząstki. Według założeń wszystko pochodzi od niej. Także światło. Próbuje ono bezskutecznie dorównać swojej „rodzicielce” pod względem prędkości. Tam gdzie prędkość światła osiąga swoje maksimum znajduje się obszar, w którym można spotkać pierwotną cząstkę. Jak to zrobić? Musiałem szukać „czarnej kropli”. To punkt graniczny, w którym światło próbuje przejąć prędkość pierwotnej cząstki, ta jednak nie pozwala światłu rozwinąć większej prędkości. W punkcie siłowania się powstaje owa „czarna kropla” swoista pieczęć stawiana przez

cząstkę na świetle. Poprzez „kroplę” cząstka mówi do światła: „ja byłam przed tobą i nie pozwolę pędzić ci szybciej”.

Rozpędziłem się maksymalnie razem ze światłem i wyteżyłem umysł, koncentrując całą jego uwagę na granicy światła. Napięcie i stres sprawiły, że wszystko dokoła przestało dla mnie istnieć. Mój wysiłek został wynagrodzony. Dostrzegłem kształt otoczony dyskretną poświatą. Ciemny kształt przypominający odwróconą kroplę. Ruszyłem w jego kierunku i rzuciłem się w kroplę. Natychmiast ogarnęła mnie ciemność, całkowita, zniknęły wszystkie obiekty. Przeraziłem się, że pomyliłem „czarną kroplę” z czarną dziurą, w której utknę na zawsze. Ciemności na szczęście szybko się rozproszyły, a ja pędziłem dalej. Ale jak pędziłem. Mój układ planetarny szybko skurczył się i wymieszał z sąsiednimi układami, za moment mogłem przyglądać się gigantycznym gwiazdom, i wreszcie całej galaktyce, a także kilku sąsiednim galaktykom. Uzyskałem perspektywę, której nie byłbym w stanie objąć umysłem, bez wsparcia pierwotnej cząstki. Doznanie przewspaniałe, a trzeba było skoncentrować się na kolejnym zadaniu, będącym sednem misji. Należało wychwycić sygnał innego umysłu.

Program taki jak „Bezkresny umysł” musiał mieć w swoim założeniu konkretny cel, aby nie zakończył się wyłącznie bezładnym włóceniem się samotnego umysłu po bezkresach kosmosu. Moim zadaniem było odnalezienie inteligentnych form życia, posiadających umysły zdolne do samodzielnego funkcjonowania. Dlatego miałem nie zajmować się obiektami w najbliższych układach planetarnych. Jedne z nich zostały zbadane przez nasze sondy, inne zlustrowane przez teleskopy. Wiedzieliśmy, że nie ma tam nawet

załączka życia takiego jak u nas. Miałem szukać o wiele dalej. Dlatego potrzebne było takie „odskoczenie” i objęcie, swoiste „spojrzenie” umysłem „z wysoka” na galaktyki.

Czy to możliwe, aby z niewyobrażalnie wielkiej odległości rozpoznać czy jakieś miejsce w kosmosie zamieszkałe jest przez inteligentne istoty? Tylko połączenie wyeksportowanego umysłu z prędkością cząstki pierwotnej dawało taką możliwość. Mój umysł dokonał tego. Nie ujrzałem żadnych sygnałów, zjawisk czy czegoś w tym rodzaju. Poczulem instynktownie, że muszę poruszać się w określonym kierunku. Popędziłem na spotkanie z innymi umysłami.

Mijałem gwiazdy, konstelacje, układ planetarne. Właściwie przeskakiwałem od punktu do punktu nie odczuwając przemieszczania się. Ujrzałem z oddali galaktykę i już byłem w jej pobliżu, upatrzyłem sobie jakiś układ planetarny i zaraz tam się znajdowałem. Potęgą tego środka „lokomocji” była gigantyczna.

Mijanym ciałom kosmicznym przyglądałem się niezbyt długo i dokładnie. Podążałem za intuicją, podświadomą siłą prowadzącą mnie do celu. Pokonywałem kosmiczne odległości jakbym prowadził pojazd po korytarzu komunikacyjnym na mojej Planecie. Wielkie ciała niebieskie przepływały obok niczym drzewa i budynki na zwykłej trasie. Nie miałem orientacji jaką przebywam odległość, ile czasu mi to zajmuje. Umysł wszedł na wyższy poziom. Czas i przestrzeń nie były dla niego przeszkodą. Powiniennem powiedzieć dla mnie, ale nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że nie do końca panuję nad sobą. Wydawało się mi się, że coś mną kieruje, jakaś siła, sprawia, że wykorzystuję dotychczas niedostępne obszary umysłu i siły wszechświata.

Poczucie bliskości pokrewnych umysłów było coraz silniejsze. Nie wiem jak znalazłem drogę do tego układu planetarnego, ale po prostu skierowałem się tam. Nie należał do dużych, ale mały też nie był. Gwiazda również nie zaliczała się do gigantów. Z satelitów gwiazdy najbardziej wyróżniała się ta największa, otoczona warstwą gazów. Nie było na niej życia, podobnie jak na innych, wielkich, gazowych, ale na tych mniejszych, skalistych też nie. Z jednym wyjątkiem. Wyczuwałem sygnały bliżej gwiazdy. Obiekt trzeci z kolei. Zacząłem zwalniać. Jak? Po prostu o tym pomyślałem. Czy pierwotna cząstka odgadywała moje myśli i dostosowywała się do nich? Zarozumiałstwem byłoby przyjąć takie założenie, ale z drugiej strony korzystałem z czegoś, czego nie byłem w stanie poznać. Po znacznym wyhamowaniu zobaczyłem „czarną kropkę” i światło. Przesiadłem się na wolniejszy „pojazd” i mknąłem w kierunku wybranego obiektu. Miał jednego naturalnego satelitę. Srebrzysty, pusty i martwy, nie nosił śladów eksploatacji. Jeśli umysły nie prowadziły żadnej działalności na satelicie, to raczej nie wypuszczały się też dalej. Na granicy ich atmosfery dostrzegłem urządzenia poruszające się po orbicie. Nie były naturalne. Czy oni je zbudowali i tam umieścili? Na jakim stopniu rozwoju się znajdowali? Ciekawość zdawała się pchać mnie jeszcze szybciej, a przecież nie mogłem przekraczać prędkości światła. Zwolniłem znowu instynktownie, odczepiłem się od niego i wskoczyłem na orbitę. Mogłem przyjrzeć się bliżej sztucznym satelitom. Prymitywne, ale świadczące, że przynajmniej trochę wyszli w przestrzeń, można powiedzieć – wychylili nos poza swoją atmosferę. Krążyłem najbliżej jak się dało. Wielkość niemal identyczna jak na naszej

Planecie, łądu nieco więcej, ale bardziej rozproszony, o zróżnicowanej rzeźbie. Wybrałem sobie punkt, małą wyspę, aby ocenić długość trwania sekwencji obrotowej. W tym miejscu nie miałem już takiego odczucia oderwania od czasu i przestrzeni, choć nadal trudno było mi dokonać szczegółowych pomiarów. Umysł nie jest pojazdem kosmicznym, nie posiada aparatury pomiarowej, tego całego oprzyrządowania. Starałem się obserwować jak najdokładniej i wszystko zapamiętywać. Na analizy przyjdzie mi przyjsć czas później.

Obrót wydał mi się trwać podobnie jak nasz. W każdym razie bardzo zbliżony. Zauważyłem też, że po stronie obiektu, gdzie panuje noc, błyszczą światła, najprawdopodobniej sztuczne, co oznacza istnienie cywilizacji przynajmniej w jakimś stopniu zaawansowanej. Jedne obszary bardzo oświetlone, inne całkowicie ciemne. A więc cywilizacja nierównomiernie rozwinięta? A może po prostu oszczędzają energię? Te i wiele innych zagadnień musiałem zbadać. Uznałem, że już czas opuścić orbitę. Zacząłem spadać w atmosferę. Jako umysł pozbawiony organicznego balastu nie musiałem się obawiać tego przejścia. Znalazłem się w górnych warstwach atmosfery i opuszczałem się powoli w dół. W miarę przechodzenia przez kolejne warstwy uświadamiałem sobie, jak łudząco przypomina to moją Planetę. A oni? Jacy są? Jak wyglądają?